



Kryminał z myszką

132

W MATNI

Tadeusz
Kostecki

Tadeusz KostECKI

W MATNI

Kryminał z myszką – Tom 132

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67769-18-1

Copyright © Jerzy Tadeusz Czaplicki

Tekst: LTW, Warszawa 2012

I wydanie: Co tydzień powieść, nr 21-22, Katowice 1947

I

Ostry snop promieni białego światła przeciął znieczeka nasiąkłą gęstym mrokiem mgłą. W ciszę wpadł donośny głos mężczyzny:

– Stać!

Grube podeszwy zastukały po wyboistych flizach chodnika. Niby echem odpowiedziały szybkie kroki kogoś drugiego. Znowu okrzyk:

– Stać! – tym razem głos zawibrował ostrzegawczo. – Stać, do ciężkiej cholery, bo strzelam! – Mdło połyskiwała czarna powierzchnia stali. – Jeszcze jeden krok, Wilby, a padniesz trupem. Mam cię na muszce.

Odpowiedziało niecenzuralne przekleństwo:

– Żeby cię...

Krażek światła utkwiał nieustępliwie w pokrytych kroplami wilgoci plecach białego płaszcza.

– No? Ty wiesz, Wilby, że nie żartuję.

Stukot kroków nagle ustał. Szczęknięta zaskakująca sprężynka. Szerokie bary mężczyzny w jasnym płaszczu skurczyły się nagle jak balon, z którego wypuszczono powietrze. Zrozpaczony wzrok przesunął po szerokich bransoletach, uwierających przeguby dłoni. Przed chwilą ich jeszcze tam nie było. Pech. Przeklęty pech.

Spokojny, równy głos. Ani śladu przyspieszonego oddechu.

– Masz broń?

Ochrypli, zdyszany szept:

– Tak. W tylnej kieszeni spodni. Ale... – lękliwa intonacja – przecież nawet nie dotknąłem... Chyba pan nie...

– Uspokój się – biała plama dłoni zręcznie wyłuskała płaski kształt – nie mam w zwyczaju łąć przed sądem. No chodźmy. I nie próbuj uciekać. Jeden podejrzany ruch i kula w łeb. Znasz przepisy dotyczące takich wypadków. Szczególnie w stosunku do ptaszków twego pokroju. Nie pierwszozna ci zresztą...

Zduszone przekleństwo. Tak. Nie pierwszozna. Znał to wszystko.

Miarowym rytmem zastukały kroki. Znowu szept:

– I po to co panu, sierżancie? Nie wyznaczono przecież żadnej nagrody. A gdyby nawet... Nie zobaczyłby pan ani grosza.

Cichy śmiech.

– Nie turbuj się już o mnie, Wilby. Sądzę, że w tej chwili powinienes mieć poważniejsze kłopoty na głowie. Pomyśl raczej o alibi. Bo to, które zaprodukowałeś ostatnim razem, należało do całkiem marnego gatunku. Kosztowało cię, zdaje się, okrągłe trzy lata?

– Dwa. Rok darowali za wzorowe sprawowanie.

– Ach tak. Prawda. Wiem, że należysz do idealnych pensjonariuszy Dartmooru.

Dłuższa chwila milczenia. Skręcili w jakąś uliczkę, tak samo bezludną jak poprzednia. Nic dziwnego, głucha noc. Rzadko ustawione latarnie walczyły bezskutecznie ze ściśle przylegającymi do mlecznych kloszy blokami mgły.

– Panie sierżancie...

– No?

– Naprawdę... co panu ze mnie przyjdzie... Odpalę setkę...

– Na pewno odpalisz. Do depozytu.

– Nie. Pan mnie nie chce zrozumieć. Dam dwie... dwie i pół... To wszystko, co posiadam. Niech mnie pan puści.

Śmiech bez śladu ironii. Wesoły, beztroski śmiech zdrowego mężczyzny, zadowolonego z życia.

– Ha... taka drobnostka jak puszczenie Johna Wilby'ego, kilku imion i większej ilości innych nazwisk, oskarżonego o włamanie w Południowym Banku. Wzięłeś wysoki ton, chłopcze.

– Na wolności mam jeszcze...

Machnięcie ręką.

– Daj spokój. Ze mną nie dogadasz się w ten sposób. Ze mną na pewno nie – powtórzył, poważniejąc.

Głowa w miękkim kapeluszu o opuszczonym rondzie zwisała ponuro na piersi. Pech, żeby akurat trafić na sierżanta Browna z piątego. Tak. Z tym nie można się dogadać. A przecież z innymi...

Zamilkł zniechęcony. Szkoda nadrywać gardła.

II

Powitanie wypadło niemal owacyjnie. Senność panująca po tamtej stronie bariery pierzchła bez śladu.

– Och, Wilby! Dawnośmy cię nie widzieli!

Komisarz popatrzył na położony na biurku pistolet.

– Bronił się?

Wilby lekliwie łypnął okiem.

Brown strzepnął palcami.

– Ani nawet. Poszedł jak baranek. Nie dotykałem swego rewolweru – miał niewinną manię przesadzania łatwości uzyskanych sukcesów. Jeżeliby wierzyć jego relacjom, wszystko zawsze szło jak z płatka.

Wilby westchnął z ulgą. Morowy chłop. Gdy przyjdzie do obrachunku, słowa te niewątpliwie zaważą na szali. Sędziowie nie znoszą oporu podczas aresztowania. Nawet biernego.

Komisarz wyciągnął rękę ku Brownowi.

– Gratulacje, sierżancie. Możecie być pewni, że nie zapomnę o was przy najbliższej liście awansów.

– Ale, ale, Brown – z głębi obszernego pokoju wychynęła otyła postać w mundurze – byłbym zapomniał – szerokie ziewnięcie – telefonowała do was wasza małżonka. Prosiła, żebyście natychmiast wracali do domu.

Serce ścisnął skurcz niepokoju. Sally niemal nigdy nie telefonowała do komisariatu. Przełknął ślinę.

– Czy... nie mówiła, o co chodzi?

– Nie... No cóż – zauważył zmianę na twarzy kolegi – pewno zatroskana o swój skarb. Wiecie, jak to z naszymi paniami...

– Podpiszcie, sierżancie – komisarz skończył protokół – swoją drogą Wilby miał szczęście, że nie stawiał oporu. Dalibyśmy mu szkołę – groźne łypnięcie w kierunku przestępującego z nogi na nogę opryszka.

Myśl Browna krążyła wciąż około jednego tematu – co się mogło stać w domu?

Czyżby coś z małą? Bo żeby biegać do telefonu, teraz po nocy? Znał dobrze Sally. Nie zrobiłaby tego dla drobnostki.

– OK, sierżancie – komisarz ścisnął mocno prawicę Browna. – Możecie już iść do domu. Odpocznijcie porządnie przez te dwadzieścia cztery godziny. A gdyby chodziło o parę dodatkowych chwil – wtopił porozumiewawcze przymrużenie oka – nie krępujcie się. Jakos załatwimy. Odwaliliście kawał roboty. Ten Wilby... no a złoty medal w krajowej

konkurencji też ma swoje znaczenie. Piąty Komisariat jest z was dumny, Brown. I to nie tylko moje zdanie. Zapewniam was.

Komisarz aż sapnął, wygłosiwszy niezwykle długie jak na swój zwyczaj przemówienie pochwalne. Należało się jednak.

Brown poczerwieniał.

– Głupstwo, panie komisarzu. – Machnął z udanym lekceważeniem ręką. – Kwestia szczęścia po prostu.

W przejściu złapał go za rękaw sierżant Wreen:

– Nie moglibyście mi pożyczyć piątki? Do pojutra – dodał pospiesznie – pod słowem. Brown pokwitował propozycję zdziwionym śmiechem.

– Ja? Też trafiliście. Jak kulą w płot. Płótno w kieszeni. Ale przecież nasz Vanderbilt.

Vanderbiltem nazywano w komisariacie wywiadowcę Really’ego. Sklepek prowadzony przez żonę Really’ego stanowił w oczach policjantów niewyczerpaną kopalnię złota.

Wreen westchnął z rezygnacją.

– Vanderbilciak też goły. Inni to samo. Nie bójcie się, nie przepuściłem ani jednemu. Pustka wokoło. Zresztą nic dziwnego. Pensja dopiero pojutra, a jutro już Derby...

III

Głucho zadudniło echo kroków na bezludnej ulicy. Noc.

Szerokim oddechem wciągnął nasiąkłe wilgocią powietrze.

Uczucie niepokoju powoli traciło na sile. Pewno Smith miał rację. Sally po prostu chciała się dowiedzieć, kiedy wróci. Wilby zajął jednak trochę czasu.

Zresztą, co mogłoby się stać? Przed kilkoma godzinami, gdy wychodził z domu, wszystko było w porządku. Molly wesoła jak kotek. Tyle że trochę senna. Ale to jeszcze nic niepokojącego. Biegała zbyt dużo, to wszystko.

W zeszłym miesiącu badał ją doktor Walley i był zachwycony.

– Powinniście pokazać córę tym, którzy plotkują, że londyńskie powietrze nie służy dzieciom.

Krok stawał się coraz raźniejszy, coraz bardziej sprężysty. Ostatnio przyszła szczęśliwa passa. Wilby... Zapewnienia awansu... Komisarz nie mówił nigdy na wiatr. Więc tak jakby awans w kieszeni. No i złoty medal. Pierwsze miejsce na zawodach ogólnokrajowych to nie jakaś tam prowincjonalna sława.

Poprzeczka na wysokości cztery trzydzieści jeden? Bagatela. Nie w kij dmuchał. Pieszczotliwe niemal klepanie po ramionach. Zachwycona twarz trenera policyjnego klubu Browna:

– Stary chłopie, jeszcze odrobinka i rekord światowy. Potrafisz przecież? No, powiedz, że potrafisz... Tylko taka tyciunia popatrz – odmierzył na końcu obgryzionego paznokcia.

Brown kiwał niby to niepewnie głową:

– Czy ja wiem? – W głębi duszy był jednak niezachwianie przekonany, że zdoła pokonać więcej niż nędzne skrawki centymetrów.

Trenował chciwie, poświęcając niemal wszystkie wolne chwile. Rekord światowy? No, no – uczucie tryumfu rozpięło piersi. Dopiero Sally będzie dumna.

Już teraz...

Na schody wchodził przepełniony niefrasobliwym rozdawaniem.

Wystarczyło jednak jedno jedyne spojrzenie na pobladłą twarz. Wyostrzone rysy i głębokie cienie pod zapadniętymi w głąb oczami mówiły same za siebie. Uczucie rozradowania zapadło w mgnieniu oka w nicość.

Serce zaczęło wydzwaniać alarm panicznym tempem uderzeń.

– Co... co się stało – głos brzmiał chropowato.
Oczy Sally zaszkliły powstrzymywanymi łzami.
– Molly chora... Boję się, czy to przypadkiem nie coś poważniejszego...
– Molly?! – Jednym susem był w pokoju.
Przycmione narzuceniem barwnej chustki na abażur światło.
Biało lakierowane łóżeczko w obramowaniu podniesionych siatek, pałająca purpurą twarzyczka. Pozlepiane potem złote kędziorki, rozrzucone nieporządnie na poduszce.
Przerywany rytm chrapliwego oddechu, wypływający spomiędzy zeschniętych warg.
Ciężko uniosły się okolone długimi rzęsami powieki.
Pozbawione wyrazu spojrzenie mętnych źrenic przesunęło tępo po twarzy Browna.
Nie poznawała! Serce zaciskały czyjeś wraże palce. Zaciskały aż do tortury. Powieki opadły z powrotem. W ciszę wsiąknął cichy żaloszny jęk:
– Boli...
Gdy się jednak nachylił, zatapiając zrozpaczone spojrzenie w twarzyczkę córki, już znowu zapadła w niespokojny, rozgorączkowany sen.
Minęła dłuższa chwila. Znowu ledwo dosłyszalny dźwięk jęku.
– Maleństwo moje – palce zacisnęły się na metalowym drucie łóżka. Na nocnym stoliku wyjęty z pochewki termometr i szklanka napełniona do połowy brunatnym płynem. Odwar jakichś ziółek, którymi Sally zawsze próbowała zwalczać początki każdej niedyspozycji. Zwykle akcesoria choroby. Akcesoria, przed którymi barczysty sierżant Brown, chluba angielskiego sportu, odczuwał nieposkromiony lęk, jeżeli dotyczyły maleńkiej Molly.
– Tak już od czterech godzin – głos Sally nabrzmiewał powstrzymywanym łkaniem. – Wieczorem trochę kaprysiła... skarżyła się na główkę... Zasnęła jednak od razu. Myślałam, że przejdzie. Ale już około dziewiątej zaniepokoił mnie jej oddech i od tej chwili... coraz gorzej.
Spojrzał na żonę.
– Co jej jest?
Potarła wierzchem dłoni łzy.
– Nie wiem...
– Jak to? Nie wzywałaś lekarza?
Ramiona kobiety opadły pełnym rezygnacji ruchem.
– Doktor Walley wyjechał. Wróci dopiero jutro wieczorem.
– A inni?
– Inni nie chcą przyjść. Noc.
Przyklęknął przy łóżeczku. Dotknął delikatnie dłonią czoła dziecka. Pałało jak rozpalony piec.
– Dużą ma gorączkę?
– Bardzo dużą. Prawie czterdzieści stopni.
W miłym pokoiku zapadło ciężkie milczenie, przerywane coraz bardziej chrapliwym oddechem dziecka.
– A jeżeli, nie daj Boże, trup?
Nie odpowiedziała, ukrywając twarz w dłoniach. Cóż miała odpowiedzieć?
Przygniatała ją poczucie zupełnej bezradności. Do tyłu lekarzy już kołatała.
Wreszcie nie wytrzymał. Zerwał się gwałtownie z klęczek.
– Do rana może być za późno. Tak czy inaczej sprowadzę jakiegoś doktora. Choćbym miał go ciągnąć za kołnierz! – cicho zamknął za sobą drzwi.

IV

Dopiero trzecia z rzędu apteka była czynna. Musiał przemierzyć dobre kilkaset jardów, zanim do niej dobrnął. Zaspany jegomość w białym fartuchu wskazał niemrawym ruchem czarne pudło telefonu.

– Spis lekarzy na stoliku – wyjaśnił lakonicznie.

Palce obejmujące słuchawkę drżały. Żeby tylko nie za późno...

Telefon szczekał negatywnymi odpowiedziami.

– Nie ma pana doktora.

– Pan doktor śpi.

– Pan doktor nie odwiedza chorych po nocy...

Na czoło wystąpiły drobne krople potu.

– Co tam – nakręcał jeden numer po drugim – przecież w milionowej stolicy w końcu...

Dopiero któryś tam z rzędu. W spisie wyjaśnienie „laryngolog”. Właśnie takiego potrzebuje Molly. Bo to chyba coś w gardle.

Zaspany głos.

– Owszem.

– Dokąd? Ach – przeciągle ziewnięcie. – Daleko. Ale... najmniej dziesięć gwinei.

Nie pomogły błagania i zapewnienia.

– Noc. Co? Może pan zapłacić pojutrze. W takim razie przyjdę pojutrze. – Wreszcie wibrujący wściekłością głos – Proszę mi nie zawracać głowy. Kogo nie stać na honorarium za nocną wizytę...

Szczęk odwieszanej słuchawki.

Ramiona opadły bezradnie. Nie było po co telefonować dalej. Dziesięć gwinei?

Skąd wziąć taką sumę? Pożyczyć od kogoś z kolegów? Przypomniał sobie słowa Wreana: „Jutro Derby. Jesteśmy wszyscy bez grosza”. Musiał odrzucić ten projekt. Więc skąd? Szczególnie teraz, po nocy? Nagle przed oczyma zamajaczyła wizja haczykowatego nosa nad strączkami zwichrzonej brody. Prawda. Samuel Blackfish. Zakład lichwiarski czynny całą dobę.

Pomacał po kieszeniach srebrny zegarek. Papierośnica z paroma monogramami. Złoty żeton wygrany na zawodach sportowych. Co jeszcze? Ach, tak. Dewizka, cztery breloki. Jeden na pewno ze złota, inne nie wiadomo. Może jednak wystarczy? Znali się przecież z Blackfishem nie najgorzej. Choćby z tamtej historii o paserstwo. Powinien chyba dać ostatecznie czterdzieści osiem godzin, to nie wieczność.

– Czy będę mógł jeszcze skorzystać z telefonu za jakąś, powiedzmy, godzinę?

Sylwetka w bieli chybnęła na fotelu.

– Apteka dziś dyżuruje przez całą noc – sapnął przez nos – dziesięć pensów za każde połączenie – wyciągnął rękę.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI